

Nr. 20. Poznań, dnia 17 Maja 1879. Rok II.

Trzy nieznane artykuły
Zygmunta Krasińskiego.

III. *Dolina Klönthal w Szwajcaryi.*

Źródła szemrzą jak przez sen na łożu z bławatów,
Powietrze tchnące wonią, tą muzyką kwiatów
Mówi do serca głosem tajemnym dla ucha.

A. Mickiewicz.

Gesner lubił dolinę Klönthal, bo jéj postać melancholiczna zgadzała się z myślącą i pełną rzewliwości duszą jego. Przed niedawnemi jeszcze czasy żyło kilku starców, spominających jak niegdyś wielki ten poeta siadywał na pokruszonych skał urwiskach oddany słodkim dumaniom o Bogu i naturze. Pielgrzymka więc do Klönthal jest powinnością wszystkich lubowników poezyi Gesnera. Nie grożą w ciągu niéj żadne niebezpieczeństwa, ale też próżnobyś tam szukał okazałych lub przerażających umysł i wzrok twój widoków. Jest to prosta karta idyll i sielanek wystawiona w działaniu. Zachwycający pięknością położenia Riedern ukazuje się tu ówdzie po wzgórzach; wieśniacze jego chatki to jak gniazda orłów i sępów czepiają się szczytów skalistych, to znowu kryjąc się w sklepieniach zieloności, wyglądają jak zaklęte nimf leśnych mieszkania. Tutaj życie dalekie od burzliwości i zgiełku! Jestto nowa Tebaida przez nowych zamieszkana samotników. Gaje z buków i jesionów ciągną się od Riedern wzdłuż skał niedostępnych, u których stóp szumi kręta Lehtsch, zmieniana często w kaskadę. Droga idąc po nad załomami strumienia, prowadzi wędrowca to po śliskich granitach, to po trawnikach majową zielonością okrytych; oddala się wreszcie od koryta rzeki i ucho słyszy tylko jakby stłumiony łoskot konającego w dalekości gromu.

Po godzinnéj podróży ukazuje się rozkoszna dolina Klönthal. Obraz przedstawiający się oczom jest całkiem w rodzaju *Salvator-Rosa*: na lewo uroczy *Glarnisch* sześć tysięcy stóp nad powierzchnią wzniesiony, na prawo posępna *Wiggis*, w głębi wesoły *Pragel*, a w środku przezrocze wody jeziora na błękitnawéj powierzchni odbijając te różnorodne widoki, jednę niejako całość składają. Przeszedłszy las bukowy, wstępuje się na wzgórza *Glarnisch* po stopniach skalistych, z pomiędzy których wyrastają kwitnące krzewy, a niekiedy sam tylko mech, ale najżywszéj zieloności.

Przybywamy nakoniec naprost skały, służącéj za podstawę dwom innym drzewami uwieńczonym. Tu na łonie cichości przerywanéj szumem sąsiedniéj kaskady, lub kiedy niekiedy nieuczoną piosnką pasterki lubił spoczywać Gesner.

Przyznać musimy że nic nie może równie unosić duszy ku Stwórcy wszech rzeczy, przepełniać ją szczytniejszemi myślami; z żadnego miejsca nie można bardziéj podziwiać piękności zachodzącego słońca, niewzruszonéj jeziora powierzchni i ubarwionych wierzchołków Alp niebotycznych. Tu prawdziwą oddychamy rozkoszą; tu też niejednego wędrowca późna noc zaskoczyła. Ze smutkiem przychodzi opuszczać tę zachwycającą dolinę, schronienie spoczynku, miejsce słodkich dumań i lubych uniesień. Lecz trzeba odejść: rozciągające się cienie po nad górami dają znak przybliżającéj się nocy. Żegnam więc was zielone łąki, żegnam was drzewa tak mile szeleszczące i ciebie spokojna jeziora powierzchnio, i was wzniosłe skał szczyty, żegnam cię Gesnerze!

Przeszliśmy most ku wschodniemu brzegowi jeziora melancholicznie rzucony. Tu już inne zajmują oko obrazy, inne zupełnie przyrodzenie. Dąży się po nad czarnemi przepaściami, po roztrzaskanych granitach co chwila oderwaniem się zagrażających. Lecz niebezpieczeństwo trwa krótko, ustaje zaraz po dostaniu się na wesołe łąki (See rüti); tu nowy widok. Słabe światełka błyszcząc jak gwiazdy po rozmaitych stronach, oznajmiają że okolica jest zamieszkałą. Jeżeliś się zabłąkał, jeżeli potrzebujesz wytchnienia, jeśli cię udręcza głód i pragnienie zastukaj do drzwi któréjkolwiek z tylu chatek, nie lękając się bynajmniéj przeszkodzić zatrudnieniom rodziny. Czujny pies pasterza usłyszy wcześnie twe kroki, szczekaniem uwiadomi gospodarza o przybyciu gościa; wyjdzie on na twe spotkanie i z radością do mieszkania zaprosi. Zaledwie próg chatki przestąpisz, już cię obarczą zapytaniami, i nie masz jeszcze czasu odpowiedzieć, gdy na czystym stole zastawią miód, masło, mleko, séry i owoce. Zdaje się im, że przyj-

mując cię uprzejmie, czynią tylko zadosyć świętym ewangielji przepisom, których przestrzeganie daje długie w tem życiu, a w przyszłém niebios rozkosze.

A kiedyś już został na noc i jutro chcesz porannym napatrzeć się wdziękom, nie masz potrzeby prosić aby cię wcześnie zbudzono. Skoro świt blady rozproszy nocne ciemności, wesoło nucąc pasterki wypędzają swe trzody na sąsiedzkie doliny i wzgórza. Pójdź z niemi razem a obaczysz walkę ciemności ze światłem, kiedy wierzchołek *Glarnisch* czerwieni się jak krater wulkanu, spód zaś jego i reszta okolicy pozostaje w cieniu. Światło podobne jest wówczas do oceanu, którego każde wezbranie nowy przedmiot odkrywa; wciska się i pomiędzy czarne skał przepaści i pod sklepienia znajomych zieloności uwite i rozciąga się, pogrąża i wzdyma jak wzburzone fale. Widok ten równie jest świetny, jak okazały i bogaty w dziwne fantastyczne odmiany. Rosa nie tak łatwo opada w wzniesionych okolicach, przeto poranek trwa długo. Była już godzina dziewiąta, a jeszcze woń kwiatów napełniała powietrze i gdyby nie wysokie góry, których cień aż do nóg sięgał naszych, możnaby mniemać że się zostaje pod balsamiczném niebem Neapolu. Po uperlonych trawnikach prowadzi droga całą godzinę do *Pragel*, nie są to jednak niezmierzone okiem płaszczyzny, urozmaicają je z buków i jesionów gaje, kręte strumyki, a czasem nagie skały lub wzgórza jodłami okryte. Przeszedłszy dolinę *Linth* na prawo droga idzie do *Glaris*, tu za każdym krokiem trącamy o ogromne odłamy granitów, oderwane od skał podczas pamiętnego w roku 1593 trzęsienia ziemi, które tyle zniszczenia przyniosło spokojnym Szwajcaryi okolicom.

Znużony nieco podróżą usiadłem na ułomku skały i marzyłem o cudach i wielkości przyrodzenia; wtem doszły do uszu moich dźwięki téj narodowéj muzyki, któréj odgłos i na obcéj ziemi wyciska łzy z oczu syna Szwajcaryi, a przypominając mu ojczyste góry i łąki obudza w duszy tęsknotę za rodzinnym krajem (mal du pays). Była to piosnka pasterza (Ranz des vaches), którą śpiewają tylko na Alpach; Gretry umieścił ją w swojéj uwerturze, lecz wyznać musimy że teraz dopiero uczuliśmy całą czarodziejskość owych bez świetności, sztuki i przesady, a jednak pełnych lubéj rzewliwości dźwięków, gdy te wychodząc z ust szwajcarskiego śpiewaka, to nagłe i przyśpieszone, to lekkie i powolne płynąc z jednéj góry na drugą bliżéj i daléj gubiły się w odbiciach echa. Głos dzwonków na szyjach krów zawieszonych, szelest liści, szmer strumieni, łoskot wodospadów, śpiew ptaków i pasterzy tworząc szczególniejszą harmonją, szczególniejsze działanie na umysł wywierają. Czasem zajęła nasz słuch piosnka pasterki (Kühreihen), sztuka nie wpoiła w nią żadnych prawideł, a przecież nigdy waryjacye Rhodego i przez najpierwszych wykonane mistrzów nie uczyniły na duszy mojéj żywszego wrażenia. I sama pasterka jakby się pysząc z swych tonów, to zatrzymała się w połowie piosnki słuchając wtórzącego jéj echa, to znowu ją zaczynać zdawała się, a z tego umyślnego nieładu wydobywała wzruszenia równie nadzwyczajne jak zachwycające. Daremnie usiłowalibyśmy zaznajomić czytelników naszych z tą muzyką alpejską, nuty mogłyby wydać pojedyńcze jéj głosy, lecz niechaj się nikt nie sili wygrać je lub wyśpiewać. Jest to pieśń jedynie dla Szwajcaryi stworzona, trzeba do niéj obrębu miejscowości, gór, skał, potoków, gajów, trzód i pasterzy. Po nauczeniu pacierza najpierwsze słowa, które wrażają rodzice w pamięć szwajcarskiéj dziewczyny, są to zwrotki piosnki Kühreihen; rzecby więc można że ją dziecię na świat z sobą przynosi, to też i milijonowém jéj powtórzeniem pewnie się nie unudzi, marzy o niéj w młodocianych snach swoich, nuci ją nad strumieniem, przy kaskadzie, po dolinach i górach, przy szumie gwałtownego potoku i przy niewzruszonych falach jeziora, a z każdym dniem większe w niéj upodobanie znajduje. Ale nietylko tony, sama nawet piosnka nigdy się nie da przenieść do obcéj mowy, bo ją składają odwieczne, narodowe wyrażenia i zwroty, które jedynie w ustach rodowitego Szwajcara i w okolicach jego ojczyzny cały swój urok rozwinąć i w całéj piękności okazać się mogą. W mgle odległych czasów skryty jéj początek, a najpóźniejsza potomność powtarzać je będzie. O jakże drogim, jak pewnym pomnikiem narodowości są pieśni gminne i nie mogę się wstrzymać bym z Mickiewiczem nie wyrzekł:

O pieśni gminna! Ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła. —

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało! Tłum ludzi obiega;
A jeżli podłe dusze nie umieją
Karmić jéj żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I ztamtąd dawne opowiada czasy —
Tak słowik, z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu;
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

WSPOMNIENIE STUDENTA.

Gawęda.

Opowiedział

TADEUSZ ZAREMBA.

(Ciąg dalszy.)

Następnego dnia Karol wcale sie nie pokazał. Dowiedziałem się, że wyjechał do swego majątku. Odetchnąłem swobodniej, a wszelkie moje podejrzenia uleciały jak nocne widziadła.

Od kilku dni zachowywałem się bardzo ostróżnie, tak że mnie nikt nie mógł podejrzywać o jakiekolwiek żywsze względem Walentyny uczucia. Profesor przestał się trwożyć i dał pokój ścisłemu kontrolowaniu moich czynności.

Dnia tego wieczorem oprócz profesorowej i Walentyny nikogo w domu nie było. Skorzystałem z tej sposobności, aby parę godzin spędzić z paniami w salonie. Rozmowa jednak wcale ożywioną nie była. Walentyna pilnie swoją robotą zajęta cierpliwie słuchała częstych uwag pani profesorowej, dotyczących nieciekawych szczegółów rozłożonej na stole sukni, która, niestety, była już na ukończeniu. Z pra-

wdziwą rozpaczą na tę suknię patrzałem, a sumienna Walentyna, jakby mnie na przekór pracowała bardzo szybko. Już widziałem niedaleką chwilę, w której swoje arcydzieło ukończy, a wtedy... wtedy trzeba będzie się z nią rozstać na zawsze. Opuści pokój i miejsce, na którém całe godziny, spędzała nie wiedząc nawet, że ją dwoje oczu z zachwytem i uwielbieniem ścigało.. Był to może ostatni wieczór, w którym na nią jeszcze mogłem patrzeć... O! Jakże trudno mi było pogodzić się z tą okropną myślą.

Około dziewiątej Walentyna powstała. Z niewymowną niecierpliwością na tę chwilę czatowałem, a gdy podeszła do lustra dla włożenia kapelusza, odezwałem się drżącym głosem:

— Pani pozwolisz siebie odprowadzić do domu, — i, z mocno bijącem sercem, na odpowiedź czekałem.

— Dziękuję panu, — odparła. — Nie jest tak późno bym się miała czegokolwiek obawiać. Niepotrzebnie się pan chcesz fatygować.

— O! — zawołałem. — Pani sama powracać nie możesz. Noc ciemna...

— Księżyc świeci, panie Józefie, — wtrąciła profesorowa z ironicznym uśmiechem

— Ulice puste, — mówiłem nie zwracając na przerwę uwagi, — nigdy na to nie zezwolę, abyś pani sama na Peresyp wracała. Już o tej porze złodzieje z nór swoich wyłażą, a droga daleka.

— Jak pan chcesz, — odparła Walentyna z uśmiechem.

— Będziesz pani miała walecznego rycerza, — zaśmiała się profesorowa.

Po chwili podawszy Walentynie ramię wyszedłem na ulicę.

Pragnąłem jakiéj przygody dla popisania się przed nią z zimną krwią i odwagą. O awanturę w Odessie nie trudno, gdyż miasto pobudowane na podziemiach, nieraz szumnie katakumbami zwanych, które służą za naturalne schronienie dla całych band włóczęgów, którzy bardzo smutne mają o własności wyobrażenia. Nazywają ich w Odesie *szarłatanami*. W miarę tego jak w mieście budowały się domy, „katakumby“ rozszerzały się, gdyż z nich wyciągano kamień do budowli. Dziś zupełnie opuszczone służą jako przytułek *szarłatanom*, którzy w nich w dzień się kryjąc łatwo ujść mogą baczności policyi, a w nocy dopiero, dzięki komunikacyom z niektóremi szynkami w rozmaitych punktach miasta rozrzuconemi, rojami z swoich kryjówek wyłażą i rozproszeni po mieście niepokoją cichych jego mieszkańców. Nieraz zamurowywano znane otwory do katakumb wiodące, lecz to się na nic nie zdało, gdyż zawsze mnogie komunikacye między niemi a miastem istnieją.

Sam na ulicy z pieniędzmi w kieszeni byłbym się bał nieprzyjemnego spotkania. Teraz go prawie pragnąłem i, naprzód sobie w myśli ułożywszy cały krwawy dramat, odegrywałem w niem rolę, którejby mi pozazdrościł z pewnością waleczny *Amadis de Gaule*.

Tak rozmyślając prowadziłem Walentynę. Zdziwiona mojem milczeniem, zapytała mnie w końcu:

— Nad czemże pan tak dumasz?

Uśmiechnąłem się, lecz nie chcąc jej niepotrzebnie zatrważać, odparłem sentymentalnym tonem:

— Noc księżycowa zawsze mnie dziwnie usposabia. Wtedy i myśli piękniejsze... jakby oblane czarodziejskiemi promieniami tego magnetyzującego świata.

— Nie wiedziałem, że pan tak poetycznie umiesz odczuwać to, co na drugich często żadnego nie sprawia wrażenia. Niejeden dla tego tylko rad z księżycowej nocy, bo bez błądzenia trafić może do domu. Przyznam się panu, że i ja o tyle prozaiczną jestem... o więcej mi nie idzie... — Walentyna zaśmiała się.

Ostatnie jej słowa niemile mnie uderzyły. Nie wiedziałem czy chciała zażartować ze mnie, czy też poważnie mówiła. Odparłem z żywością.

— Jeśli pani rozkażesz. — Sprowadzę tu dorożkę i pani jeszcze pewniej, jeszcze prędzej dostaniesz się do domu.

— Nie gniewaj się pan na mnie, — rzekła wesoło.

— Nie jest to moją winą, jeżeli poetyczną nie jestem. Nie mam na to czasu, a pan się sam o tem mogłeś przekonać, patrząc przez dni kilka na moje zajęcie.

— Mam nadzieję, że jeszcze dłużej na to patrzeć będę, — odparłem niepewnym głosem, bo domyślałem się tej odpowiedzi.

— Jutro kończę moję robotę.

— Jutro? — jęknąłem z boleścią.

— Tak.. Jutro już kończę.

— A potem?...

— Potem?... Nie wiem. Może uda mi się znaleść gdzie indziej jakie zajęcie. Nie tak to łatwo. Prosiłam profesorową o polecenie mnie swoim znajomym.

O! Czemuż cały Wołyń nie przeniósł się do Odessy!... Byłbym dla niej na resztę życia wynalazł robotę!... Poczęła mnie trapić bolesna myśl, że może nieraz biedaczka głód i nędzę cierpi.. Suszyłem sobie głowę nad tem, w jakiby sposób przyjść jej w pomoc. Byłbym wszystkie moje oszczędności u jej nóg złożył z radością, gdybym wiedział, że je przyjąć raczy. Ale nie... O tem nawet marzyć nie mogłem.

— Pani dawno już mieszkasz w Odessie? — zapytałem po długiem milczeniu.

— Od kilku lat.

— A dawniej?...

Walentyna westchnęła.

— Dawniej na wsi z rodzicami mieszkałam.

Oczywiście moje pytania przykre w niej budziły wspomnienia Nie chciałem jej dalej wypytywać, choć wszystkie szczegóły, które ją dotyczyły, żywe we mnie obudzały zajęcie.

Dawniej mi jej uśmiech, lub słowo łagodnie wyrzeczone zupełnie mogło uszczęśliwić Dziś mnie już to nie wystarczało. Chciałem poznać jej życie, jej przeszłość, chciałem by się domyśliła moich uczuć, by mnie swoje serce oddała. Nie mając jeszcze żadnego planu przyszłości, a raczej mając ich za wiele, co utrudniało mój wybór, pragnąłem przedewszystkiem jej serce pozyskać. Ufałem w siłę mojej miłości, w wymowę moich spojrzeń i westchnień. Przeczuwałem różne przeszkody i trudności ze strony moich rodziców, ale o tem nawet wątpić nie śmiałem, że je wszystkie z czasem i cierpliwością zdołam przełamać. Rodzice kochali mnie, nieszczęścia mojego pragnąć nie mogli, a bez Walentyny szczęścia dla mnie nie było. Po trudach i walkach widziałem przed sobą jaśniejącą przyszłość. Teraz mi tylko chodziło — o zapewnienie sobie wzajemności ze strony młodego dziewczęcia. Nie miałem jednak wyobrażenia o tem w jaki sposób wypadało rozpocząć moje działania.

Szliśmy wolnym krokiem. Do jej mieszkania było dość jeszcze daleko miałem czas by najczulej i najdłużej wy-

powiedzieć, że bez niej żyć nie mogę, że ją kocham, że jeśli mi nie zrobi żadnej nadziei — oszaleję z rozpaczy i umrę. A jednak sił mi nie dostawało do tego stanowczego kroku. Dotąd mnie nie kochała, tego byłem najpewniejszy, ale czy mi zrobi jakąś nadzieję, czy też wyśmieje rozmarzonego młodzika?...

Gdyby w tej chwili wypadli z za muru złoczyńce, gdybym ich wtedy pokonał zasłaniając ją swoją piersią, na mocy tych jawnych dowodów miłości, śmiało bym do niej przemówił, a może moje słowa zdołałyby poruszyć w niej jakie dotąd uśpione uczucia, możeby nie wzgardziła młodym i walecznym obrońcą.

Nic się nam jednak nie wydarzyło. Ulice były puste, zanadto puste!... Spotykaliśmy wprawdzie nocnych stróżów, którzy tyle hałasu swemi grzechotkami sprawiali, że mogli odstraszyć wszystkich złodziei Odessy.

Od kilku minut szliśmy główną ulicą przedmieścia w którem Walentyna mieszkała. Ulica była nadzwyczajnie szeroka; po obu jej stronach daleko od siebie wznosiły się nędzne domki o jednem piętrze. Gdzie niegdzie przy nich dostrzedz można było schorowane, nagie jeszcze w tej porze akacye. Wszystko dokoła wyglądało smutnie, ubogo. Tu jeszcze nas mogła spotkać jaka przygoda, bo niełatwo by kto mógł dosłyszeć głosu napadniętego przechodnia.

Niecierpliwie rozglądałem się dokoła. Oprócz nędznych domków i niezapalonych latarni nic dojrzeć nie mogłem. Widocznie dnia tego księżyc nadto jasno przyświecał.

Wtem nagle doszedł nas odgłos szybkich kroków. Spojrzałem przed siebie i serce silniej we mnie zabiło. O kilkadziesiąt kroków dostrzegłem idącego jakby na nasze spotkanie mężczyznę.

— Jeden tylko! — pomyślałem z niechęcią, ale silniej laskę ścisnąłem w dłoni.

Chwilę potem nie zatrzymując się mijał nas mężczyzna, spojrzałem na niego:

— Karol! — wykrzyknąłem z zadziwieniem. — Karol w Odessie!

Poczułem że ramię Walentyny zadrżało. Spostrzegłem wyraz niepokoju na jej pięknej twarzy. Obejrzałem się... Karol już był daleko. Widocznie od nas uciekał. Walentyna przyspieszała kroku, a ja począłem rozmyślać nad tem dziwnem spotkaniem. Co mógł Karol o tej porze robić na Peresypie?.. Czemu się krył przed nami... Przypomniałem sobie słowa pogróżki, z jakiemi Walentynę opuścił parę dni temu i naraz powróciły gwałtownie wszystkie trwogi o jej spokój. Niezawodnie chcieć musiał coś brzydkiego przeciwko biednej dziewczynie. Nie bałem się całej zgrai złoczyńców a drżałem na samo wspomnienie pogróżek Karola. Nie szło tu już bowiem o pugilares z pieniędzmi, ale o bezpieczeństwo najdroższej memu sercu osoby.

Ona spokojniejszą odemnie nie była. Blada coraz bardziej spieszyła ciągnąc mnie prawie za sobą.

— Nie bój się pani, — rzekłem, starając się wlać w nią spokój, którego sam odzyskać nie mogłem.

— Raz w domu nie masz się czego obawiać. Nie wychodź pani nigdy sama wieczorem.

— Ja się wcale nie boję, — odparła z uśmiechem

— Czemże pani wytłumaczysz swoje wzruszenie?

— Mam dziwny, nieprzezwyciężony wstręt do pana Karola... Nie mogłam go nigdy przełamać, ale nie mam prawa podejrzywać go o jakieś nikczemne zamiary. Niczem na to nie zasługuje. Już jestem zupełnie uspokojona... Nie wiem nawet dla czegom się tak przestraszyła... Zapewne temu przyczyną to nagłe spotkanie; myślałam że jest na wsi... Dziękuję Panu za okazaną mi troskliwość. — Nie warto się niepokoić. Dobranoc panu, — dodała prawie wesoło.

Jakto dobranoc?

— Już jestem w domu.

Szkoda! — szepnąłem z westchnieniem.

Podała mi rękę, z wielkiem wzruszeniem jej drobne palce ścisnąłem, poczem zniknęła za zieloną furtką wiodącą do niewielkiego ogródka, który dom jej od ulicy przedzielał.

Zostałem sam, sam na rozległym Peresypie, daleko od nocnych stróżów i ludzi. Bez Walentyny stałem się prawie tchórzem, tak mi zegarek z łańcuszkiem był miły. Zdawało mi się, że wszędzie dostrzegłem jakieś podkradające się cienie. Mało mnie teraz księżyc i jego blask czarujący obchodził. Naraz, jakby odrodzony, zostałem najprozaiczniejszym z ludzi. Wodząc oczami dokoła szukałem doróżki. Żadnej dostrzedz nie mogłem. Trzeba było piechotą ruszać do domu.

Szedłem spiesznym krokiem rozględując się na wszystkie strony. Daleko mniej rycerskości czułem w sobie, tem bardziej, że jakby na złość czyste dotąd niebo poczęło się okrywać chmurami, w których księżyc wkrótce bez wieści utonął.

Po marszu, który mi się wydał niezwyczajnie długim dostałem się w końcu do Sofijewskiej ulicy, wiodącej z Peresypu do miasta. Odetchnąłem trochę swobodniej, czując się już mniej samotnym i opuszczonym.

Nagle z za rogu domu, o kilkanaście kroków przedemną wybiegła jakaś postać. Serce we mnie zamarło. Stanąłem nie wiedząc jak sobie poradzić, bo postać widocznie na mnie czekała. Chcąc do domu się dostać ominąć jej nie mogłem. Tymczasem postać zbliżyła się do mnie. Trzeba było parlamentować.

— Kto tam? — zapytałem niepewnym głosem, wywijając laską w powietrzu.

Usłyszałem głośny, znajomy śmiech.

— Pan Karol! — zawołałem prawie z radością. Byłem już o zegarek spokojny.

— Tak, panie Józefie. — To mówiąc Karol zbliżył się do mnie. — Czekałem tu, aby z panem pomówić.

— Słucham pana, — odparłem ciekawie na jego słowa oczekując jaki mógł mieć do mnie interes?

— Nie chciałbym, aby wiedziano że nie wyjechałem na wieś. Ja jestem tutaj incognito. Jutro dopiero odjeżdżam. Dotąd zostawałem w Odesie dla różnych interesów. — Karol uśmiechnął się znacząco.

— Co mnie do tego, panie Karolu?

— Pan mnie już raz spotkałeś, mógłbyś się niepotrzebnie wygadać, a ja wcale sobie tego nie życzę... U profesora od siebie zależę, ale zupełnie wolnym nie jestem... Chciałem się trochę zabawić... Rozumiesz pan?.. Potrzebowałem swobody... wolności... Trzeba przecie aby młodość wyszumiała... Prawda?

Mam dwóch wujów, niby opiekunów... mogliby się dowiedzieć...


M A J
F. ZABŁUCKI

— Pan przecie nie bardzo zwykle zważasz na opiekunów.

— O! Za oczami bardzo ich lekko traktuję, ale jak się z nimi widzę zupełnie inaczej mają się rzeczy, — odparł Karol. — Nudna to rzecz opiekunowie.

W miarę tego jak mówił uspokojałem się, gdyż w słowach jego nieszczerości odkryć nie mogłem. Wiedziałem o nim, że rozwiązłe życie prowadził, łatwo mu przeto uwierzyłem, a wszelkie trwogi o biedną Walentynę pierzchły daleko odemnie. Poczułem się jednak w obowiązku dania mu kilku dobrych rad, które, choć znacznie byłem młodszy od niego, na złe mu wyjść nie mogły. Rzekłem przeto dosyć serdecznie:

— O tem, że pan jesteś w Odessie nie mam potrzeby nikomu wspomnieć, bo plotek nie lubię. Ale od siebie muszę panu powiedzieć, jak mi jest przykro, że pan pokątnych szukasz rozrywek, z któremi jak sam się do tego przyznałeś, musisz się ukrywać. Czyż nie lepiej bawić się otwarcie, z podniesionem czołem patrzeć na ludzi, zamiast ich unikać? Czyż niema innych jeszcze rozrywek piękniejszych, szlachetniejszych od tych, którym się pan oddajesz w tajemnicy, pod zasłoną nocy?... Domyślałem się, że karty i wino niepoślednią grają w nich rolę.

— Dosyć tych nauk, — przerwał śmiejąc się Karol. — Pan jesteś jeszcze bardzo młodym i po dziecinnemu patrzysz na rzeczy. Uprzedzam jednak, że ze mnie pan dziecka nie zrobisz swojemi naukami. Jestem gotów z pana zrobić człowieka, jeżeli się na to pan zgodzisz... Dotąd dzieckiem jesteś. Dla pana odprowadzenie szwaczki do domu stanowi szczyt szczęścia... Są gusta i guściki. Niemcy powiadają, że

Jedes Thierchen
Hat sein Plaisirchen...

Powiedz pan jedno tylko słowo, a jestem na jego usługi. Trzeba wyjść w końcu z za spodnicy niańki, trzeba raz oczy otworzyć. Wracam z Peresypu, który zda sie tak pusty i ponury... Nigdym się tak dobrze nie bawił... Będę pańskim mentorem, ciceronem..

— Dziękuję! Dziękuję! — zawołałem z oburzeniem. — Pijam wino na imieniny mego ojca i grywam czasem w maryasza z respektową panną mojej babki. Ani jedno ani drugie nie wydaje mi się zbytecznie zabawnem.

Karol śmiał się i ruszał ramionami.

— W takim razie życzę panu dobrej nocy.

— Wzajemnie...

— Może pana odprowadzić do domu? — zapytał Karol z pewną ironią.

Tknięty do żywego gwałtownie odparłem.

— Mój panie... pan się zapominasz.

Już miałem odejść, lecz mnie Karol zatrzymał.

— Nie gniewaj się pan... Czy mogę liczyć na zachowanie tajemnicy.

— Jestem uczciwym człowiekiem. Nie mam zwyczaju wtrącać się w cudze sprawy.

— Bo inaczej mógłbyś pan tego żałować, — dodał Karol tonem pogróżki.

— Ten dodatek zupełnie niepotrzebny, — odparłem z godnością ramionami ruszając. — To nie droga, którą trafić można do przekonania porządnego człowieka.

I zostawiwszy go na środku chodnika wyruszyłem pewnym krokiem do domu.

— Co za obrzydliwy, zepsuty chłopiec, — myślałem. — Żadnego szlachetniejszego uczucia w nim dostrzedz nie można. W każdym razie nie mam potrzeby obawiać się jego. Trzymam go w ręku, bo był zmuszony do wytłumaczenia się przedemną. Znam jego tajemnice, a choć ich przeciw niemu nigdy nie użyję, można go niemi straszyć. Już się teraz mnie boi... Więcej mi nie potrzeba.

Spokojny i wesół powróciłem do domu.

* * *

Nazajutrz z rana po śniadaniu wyszedłem przed dom i z książką w ręku, usiadłszy pod drzewem postanowiłem oczekiwać na przybycie Walentyny.

Przeczytawszy z uwagą pierwszych kilkanaście stronic, spojrzałem na zegarek.

— Dziesiąta! Bardzo się dzisiaj spóźnia.

Począłem dalej czytać, ale już mi trudniej było skupić myśli; czytałem machinalnie nic nie mogąc zrozumieć. Walentyna nie ustępowała z myśli. Obiecała przyjść, bo jeszcze swojej roboty nie skończyła... Zwykle o dziewiątej już na swojem miejscu przy oknie siedziała w salonie. Co to mogło znaczyć?... Niepokój mój wzrastał z każdą chwilą. Myśl że może chora, że może wydarzył się jej jaki przypadek, że wcale nie przyjdzie, trapiła mnie nieustannie. Co chwila na zegarek patrzałem, skazówki zdawały się coraz wolniej postępować... W końcu na bok książkę rzuciłem i ze zwieszoną głową smutny siedziałem, modląc się w duchu. starając się w sobie obudzić nadzieję, że jeszcze może przyjdzie. Po chwili i Karol na myśli mi stanął... Karol i Walentyna, te dwie tak niepodobne do siebie istoty ściśle teraz złączone już mi nie dawały spokoju... Bałem się, gorąco się modliłem i najokropniejsze cierpiałem męczarnie.

Tak upłynęły mi trzy długie godziny.

Nagle za bramą od ulicy usłyszałem kroki. Po chwili ktoś dzwonił..

Wybiegłem do furtki, żywo ją otworzyłem...

Przedemną uśmiechnięta stała niesympatyczna ciotka Walentyny.

— Ha!... Nic się nie stało? — zawołałem gwałtownie.

Spojrzała na mnie z wielkiem zdziwieniem, a po chwili zapytała:

— Czy pani profesorowa w domu?

— Nie, pani wyszła przed godziną.

— Szkoda... Przychodzę w imieniu Lusi...

— Proszę mnie poruczyć interes do pani profesorowej a najsumienniej się z niego wywiążę, — rzekłem bardzo uprzejmie w nadziei dowiedzenia się czego o Walentynie.

— Lusia dziś trochę niezdrowa, — zaczęła dama.

— Ach! Co jej jest?... — zawołałem.

Dama ciekawie na mnie spojrzawszy, uśmiechnęła się i rzekła:

— Nic ważnego... Wczoraj się trochę przelękła... Dziś przyjść nie może, ale jutro tu będzie z pewnością.

Odetchnąłem... Niebezpiecznie chorą nie była.

— Zakomunikuję tę smutną wiadomość profesorowej. Dziękuję panu...

Już się stara ciotka miała oddalić, gdy, jakby sobie coś przypomniawszy, zapytała mnie z uprzejmym uśmiechem.

— Czy pan wczoraj Lusię odprowadzałeś do domu?

— Tak pani... Miałem to szczęście.

Znowu się uśmiechnęła.

— Lusia bardzo mi wiele o panu mówiła... Jednak, choć się tylko najpochlebniej odzywała, mam żal do pana.

Zdziwiony zapytałem:

— Za cóż, pani?

— Spacer na Peresyp daleki. Nie raczyłeś pan wstąpić do nas, aby trochę odpocząć. U nas skromnie, ubogo, ale... serdecznie...

Zarumieniony, uśmiechnięty, chciwie jej słów słuchałem.

— Mam nadzieję, — dodała wyciągając do mnie rękę, — że innym razem pan nam tej przykrości nie zrobisz i zechcesz przestąpić próg naszej ubogiej chaty,.. Wyłajałam Lusię za to, że wczoraj pana o to nie prosiła... Biedaczka bardzo nieśmiała... A więc przy sposobności... prawda?...

O jakże w tej chwili tę starą ciotkę kochałem! schwyciłem jej pulchną rękę i głośnego na niej złożyłem całusa.

Widocznie na niej dobre wrażenie sprawiłem. Mocno mnie za rękę ścisnęła i wyrzekłszy, że bardzo rada z poznania tak miłego i przystojnego kawalera, uśmiechnęła się raz jeszcze i odeszła.

Szczęście moje granic nie miało! Walentyna, a raczej Lusia, bo już jej inaczej zwać w myśli nie chciałem, wiele o mnie swojej ciotce mówiła!.. mówiła tylko pochlebnie!.. Sama mnie chciała prosić bym przestąpił próg jej mieszkania, ale ją pewien wstyd od tego powstrzymał!.. O Rozkoszy! mogłem mieć teraz nadzieję, że jej serce zdobędę! Byłem zaproszony do jej domu, mogłem w nim bywać, kiedy mi się to tylko podoba!... O! Jakże błogosławiłem gadatliwą ciotkę!

Trochę mnie wprawdzie niepokoił protegowany przez nią nauczyciel muzyki, ale nie wątpiłem o tem, że go zaraz przyjmie inaczej, gdy się dowie o moich zamiarach względem siostrzenicy.

W wielkiej radości napisałem wesoły list do rodziców. Nic im jednak nie mówiłem o Lusi, nie chcąc psuć sobie szyków zawczasu, ze zbyteczną szczerością odkrywszy im swoje uczucia; miałem zamiar wyspowiadania się z uczuć moich w właściwym czasie — gdy pora będzie potemu, ale nie teraz jeszcze. Sumienie nie wyrzucało mi niczego, gdyż się do żadnej nie poczuwałem winy. Owszem moja miłość uszlachetniała mnie we własnych oczach, gdyż ona miała ratować od nędzy opuszczoną dziewczynę, a nadto wyrwać ją z rąk nikczemnego człowieka. — Inaczej sobie w dziecięcej wyobraźni nie mogłem wystawić biednego muzykusa, musiał być nikczemnym, skoro z jego przyczyny Lusia cierpiała.

List mój jednak, choć się w nim nie zwierzałem, tak był wesoły, tak nieporządnie zredagowany, że jak się późniéj dowiedziałem, wzbudził pewien niepokój w moich rodzicach. Od razu odgadli, że z kochanym Józiem wszystko w porządku być nie musiało i po krótkiej konferencyi ojciec wybrał się w podróż do Odessy.

Ja o niczem nie wiedząc marzyłem najpiękniej snując złote plany przyszłości.

* * *

W kilka dni potem w domu profesora wszystko dawnym postępowało trybem. Walentyna ukończywszy swoję robotę już się nie pokazała.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Miesiąc Maj dla myśliwców.

Maj wysławiają poeci, Wasilewski n. p. zwie go „kochankiem wiosny", a inny natchniony piewca nuci:

„Maj zawitał! — gaj cały pięknie się zieleni,
Kwitną łąki i pszczółek brzęczą na nich roje,
Złoci się śliczne słonko w błękitnéj przestrzeni,
W dolinie słowik śpiewa, cicho szumią zdroje.

I w sercu świeżych uczuć i myśli zdrój płynie,
W duszy rzewna swoboda jasną zorzą świeci!
I czyliż ciche szczęście wraz z majem przeminie,
Serdeczna radość razem z skowronkiem uleci?

Piękny jest Maj — to prawda, choć zdarzają się często dni pochmurne, zimne, wietrzne, a jest ich nieraz więcéj, aniżeli pogodnych. Wszak tak samo dzieje się i w naszém życiu.

Dla myśliwych Maj jakby nie istniał, gdyż nie ma na co polować. W. Pol w „Roku Myśliwca" tak pisze w tym względzie: Łanie i sarny szukają samotnych polan i źródeł. Zające lęgną się w zbożach. Liszka wywodzi młode z jamy i poczyna je zaprawiać do łupu, a borsuk leży z młodemi przed jamą i wygrzéwa je na słońcu. Młode wiewiórki wychylają się już z gniazda nieśmiało i nikną w niém za lada szelestem. Na upartego można strzelić do rogacza lub kozła dla kuchni i brać przepiórki na siatki.

Drapieżne ptactwo siedzi na jajach, albo wywodzi już młode. Toż samo siedzą leśne kury na gnieździe.

„I jest przymierza chwila — i pokoju!"

Rozporządzenie Henryka Dąbrowskiego z 1806 r.*)

Jan Henryk Dąbrowski Generał Dywizyi ozdobiony Orłem Wielkiego Orła Legii honorowéj Komander Orderu Królewskiego Korony żelaznéj.

Kiedy Polak prawie cudem dźwigniony, dzieli swoje uczucia między podziwienie i radość; kiedy cały Naród postać przybierając zbrojną błogosławi dniom Jego który go niejako wydobywa z nicostwa, i pozwala mu żyć lub umierać z chwałą. Kiedy mówię Polak zajęty obrazem przyszłego szczęścia i sławy, wielbi Opatrzność w NAPOLEONIE, że mu Najwyższe Dobro przywraca Ojczyznę, nie powinien zapominać o tych, którzy jéj bronić nie mogą, a którzy do jéj wdzięczności i frasunku pozyskali prawo. Mowię tu o Rodakach i Braciach Oręża, okrytych ranami, obarczonych wiekiem, mowię o wdowach i sierotach walecznych tych Polaków, których na polach naszych świeże jeszcze wznoszą się mogiły, albo którzy za kraj swój w oczach Zwycięzców świata na obcéj polegli ziemi. Im winniśmy tę chwałę, jakiéj ani przemoc ani nasz upadek zatrzeć nie zdołały. Ozdobmy tym czynem óltarz odradzającéj się Ojczyzny, niech w narodzie który stał się godnym opieki NAPOLEONA, i czuje nad sobą Opatrzności rękę, nie będzie Mieszkańca, coby w

*) Godzi się zaiste podobne dokumenty, jak powyższa odezwa wielkiego wodza legionów, wyrywać z zapomnienia, choćby jako materyał dla przyszłego historyka. Niestety! ani Kościuszko ani Dąbrowski nie doczekali się jeszcze życiorysu, któryby był godnym ich czynów.

dniach powszechnéj radości narzekał, że służył niegdyś Ojczyznie. Niechaj ci, którzy biorą oręż na jéj obronę będą równie pewnymi téj pamięci, nie są to tylko uczucia moje, jest to głos Narodu, którego mam chlubę bydź tłumaczem.

Ażeby więc te chęci najrychlejszy odebrały skutek; wszyscy Wojskowi których wiek lub kalectwo zrobił niedołężnymi, równie jak pozostałe wdowy i sieroty mają się stawiać z dowodami u Generałów kommenderujących Departamentami jakoto: w Poznańskim u Generała Axamitowskiego, w Kaliskim u Generała Skorzewskiego, w Bydgowskim i Kwidzyńskim Departamentach u Generała Kosińskiego, którzy kazawszy sporządzić imienną ich listę z wyrażeniem czasu i służby, miejsca urodzenia i potyczek, gdzie się okryli ranami, tudzież okazanych na to dowodów przyszlą mi je jak najprędzej. Ci zaś co się znajdują w Departamencie Warszawskim, mają się natychmiast stawić z dowodami lub opatrzeni świadectwami do mojéj kwatery i złożyć je w kancellaryi Nadgrod Narodowych i Instrukcyi pod dozorem Kapitana Godebskiego będącéj.

Najpierwszym będzie moim obowiązkiem obmyśleć ulgę ich nędzy, a gorliwym Obywatelom którzy przez dobrowolne składki przyczynili się do wypełnienia tego czynu, okazać przeznaczenie ich ofiar.

Każdy żołnierz, wdowa i sierota, którzy okażą prawo do narodowéj opieki, otrzymają sposób do życia, stósownie do nadgród, jakie są w Francyi dla wysłużonych Obrońców Ojczyzny. Płaceni zaś będą przy końcu każdego miesiąca, poczynając od 1go Stycznia Roku przyszłego.

Wy zaś na których dobro przedsiębiorą się śrzodki przyłóżcie się równie do Dobra ogólnego kraju. Niech każdy z was okryty ranami mówi o nich młodzieży spieszącéj do boju, jako świetnym zaszczycie i niezaprzeczonym do nadgrody prawie. Niech każda Wdowa powtarza płci swojéj, że ta co utraci męża dla Ojczyzny, nie zostanie bez opieki. Niech każda matka stara się swe dzieci uczynić godnymi ich Ojców.

Dan w Głównéj Kwaterze w Warszawie,
Dnia 17 Grudnia 1806.

Dąbrowski.

Uwagi Krytyczne
E. Calliera
nad
Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,
ułożoną i wydaną przez
Teodora Żychlińskiego.
XI.

Bojanowscy herbu Junosza. Sczanieccy herbu Ossorya. Bronikowscy herbu własnego.

Z monografii Sczanieckich dowiadujemy się o Jakóbie Bojanowskim herbu Junosza, notaryuszu ziemskim Kaliskim, ok. r. 1572 (?), którego żaden dotąd, o ile wiem, heraldyk nie wykazał.

Odnośny przypisek p. Żychlińskiego, na str. 261, że Jakób ten był synem Andrzeja i wnukiem Krzysztofa, odpowiada dzisiejszym wymaganiom, których autor, niestety nie zawsze uwzględnia w swéj Złotéj Księdze.

Porównywując zaś przypisek 27 na str. 270 z tem, co autor podaje o Bojanowskich w Kronice Żałobnéj na str. 30, pytam się, czy Bogusław, od którego pochodzą dzisiejsi katoliccy Bojanowscy, zwany w Kronice „na Przybini,“ a w Złotéj księdze „podstolim (?) Poznańskim,“ jest jedną i tą samą osobą? Wątpliwość taka powstaje tam, gdzie brak ścisłości; a tą nie zwykł grzeszyć nasz autor w swych przypiskach.

Uderza też w rodowodzie Bojanowskich, zamieszczonym w Kronice Żałobnéj, że p. Żychliński wyliczając czterech wnuków wspomnianego powyżéj Bogusława, nie zna ani jednego syna, który przecież w łańcuchu genealogicznym zdaje się być co najmniéj koniecznym.

* * *

Przebiegając przypadkowo monografię Sczanieckich herbu Ossorya, spotkałem się z błędem drukarskim, których w Złotéj Księdze wystrzegać się należy. — Na stronie 265 zapisuje autor rok śmierci Hermengilda Sczanieckiego „1722.“ To chyba być nie może; mam bowiem w ręku potrójną metrykę, wystawioną przez tegoż Hermengilda, z któréj wypisuję tu następujący ustęp:

„Anno Dni 1740 die 5ta 8bris. Ego Hermenegildus Sczaniecki Parochus Otoroviensis baptizavi Petrum, filium Andreae et Catharinae conjugum legitimorum Chałupników de Przystanki.“

Trzecią metrykę podpisał proboszcz Otorowski „Die 22 Januarii Anno 1769,“ a więc żył jeszcze 47 lat po roku 1722, zapisanym w Złotéj Księdze.

* * *

W odnośnym do Bronikowskich przypisku zapowiada p. Żychliński „bliższe szczegóły,“ odnoszące się do téj rodziny. Zasłuży się i dziejom i heraldji naszej, jeżeli należycie się wywiąże z powziętego zamiaru.

Zasłuży się heraldji, skoro wyświeci początek odmiany herbu, jakiéj po dziś dzień używają potomkowie Jana-Zygmunta, i na jakiéj podstawie heraldyk niemiecki, Kneschke, zwie ich hrabiami. Zasłuży się dziejom ojczystym, jeżeli, jak w Kronice swéj Żałobnéj o Rajmundzie, w drugim roczniku Złotéj Księgi poda obszerne życiorysy Mikołaja, generała, i innych zasłużonych krajowi Bronikowskich.

A wziąwszy się do téj pracy, niech dotrze, o ile możności, lub zbliży się do źródła, z którego wypłynęły pokutujące po dziś dzień jeszcze tradycye co do pochodzenia Bronikowskich od książąt na Opolu i co do pokrewieństwa z Katarzyną I, żoną Piotra I, cara.

Niech też uzupełni Krasickiego i Wielądka i niech nam powie jak na imie było prezydentowi Kamery Piotrkowskiéj, żyjącemu ok. r. 1794, i owemu generałowi Saskiemu, który się pisał na konfederacyi Toruńskiéj Dyssydentów w r. 1766—8; — jednem słowem, niech wydobywa z zapomnienia wszystkie szczegóły, choćby najdrobniejsze, które się odnoszą do dziejów téj rodziny, pomny że z takiéj mozaiki składają się dzieje całego Narodu!

ŁAMIGŁÓWKA.

Cztery głoski z początku, za epoki lackiéj
Osada zakonniczéj drużyny kozackiéj;
Ztąd może, gdy zawiedzie ślubny mirtu wieniec,
Mówią. że na niéj osiadł marcowy młodzieniec;
To pewna w dziejach świata że drób, jaja, krupki
Nosiły w nich i noszą kłótliwe przekupki.
Następne dwie litery — państwo i stolica
Gdzie na łonie rozkoszy panuje caryca,
Semiramis skrzydlata, od tamtej nie lepsza,
O jéj zwyczajach czytaj Girdwojnia, Berlepsch'a.
Nawykła stać na czele, litera końcowa,
Jak gdyby urażona, za inne się chowa.
Całość znajdziesz w Słowackim, jestto porównanie
Dejaniry do Polski, gdy z grobu powstanie.

S. T. D.

Nagroda za dobre rozwiązanie: *Męczennica* fotografia podług obrazu W. Eljasza, cena 1 tal.

„Lech“ wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr., dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań.*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.